



Anna Kańtoch

Pokuta*
(fragment)

Część I

26 września, godzina 18:40

Wygląda, jakby był winny – pomyślał starszy sierżant Krzysztof Igielski. Wstydział się tej myśli, ale to było pierwsze, co przyszło mu do głowy, kiedy Andrzej Biały usiadł za stołem. Po drugiej stronie zajął miejsce prokurator Włodarczyk, niski, szczupły mężczyzna z wąsikami, który upodabniał prokuratora do aktora przedwojennego kina. Igielski stał pod ścianą, przyglądając się uważnie Andrzejowi. Biały siedział z rękami splecionymi na blacie stołu i ze spuszczoną głową. Jego prawa noga podskakiwała rytmicznie, włosy, ciemne i zdecydowanie zbyt długie jak na gust Igielskiego, zasłaniały twarz, od czasu do czasu jednak chłopak unosił głowę, ostrożnie, niczym wyglądające z nory zwierzę, a wtedy sierżant widział rozlewający się wokół prawego oka siniak i górną wargę, napuchniętą do rozmiarów małej kielbaski.

Włodarczyk włączył magnetofon i po wstępnych formalnościach przeszli wreszcie do rzeczy.

– Synu. – Prokurator pochylił się i przybrał swój najbardziej przyjacielski ton. – Masz kłopoty, wiesz o tym?

Biały milczał przez dłuższą chwilę, aż wreszcie, kiedy Igielski był już pewien, że chłopak się nie odezwie, skinął głową.

– Tak.

– Głośniej, proszę.

– Wiem, że mam kłopoty. – Biały unióśł głowę i przez jego twarz przemknęło coś jakby wyzwanie. A przynajmniej Igielskiemu tak się zdawało, choć z każdą chwilą był mniej tego pewien. Włosy znów zasłaniały twarz, noga wróciła do rytmicznego podrygiwania, w górę i w dół, w górę i w dół.

Prokurator sięgnął po zdjęcia, które do tej pory leżały na skraju biurka, grzbietami do góry. Chłopak nie spojrział w ich kierunku, ale starszy sierżant wyczuł, jak ciało Białego napina się w oczekiwaniu.

– Poznajesz to? – Włodarczyk odwrócił fotografie i rozłożył je na blacie, tworząc szachownicę czarno-białych obrazów.

* Powieść Anny Kańtoch *Pokuta* ukaże się w tym roku nakładem Wydawnictwa Czarne.

- Tak.
- Głośniej.
- Poznaję.
- Ty zrobiłeś te zdjęcia?
- Ja, ale...
- Tak?
- Nie. Zabiłem. Jej. – Słowa wydobyły się spod opadających na twarz włosów pojedynczo, jakby chłopak każde z osobna wypluwał z wysiłkiem.
- Ale to właśnie powiedziałeś Markowi Pietrzakowi i jego kolegom, zgadza się?
- Wahanie.
- Zgadza się?
- Tak.
- Dlaczego miałbyś mówić, że ją zabiłeś, jeśli tego nie zrobiłeś?
- Biały wymamrotał coś, a Włodarczyk pochylił się jeszcze bardziej w nieco przesadnej pozie nasłuchiwania.
- Synu, naprawdę musisz mówić głośniej.
- Chłopak poruszył ustami i starszy sierżant wreszcie usłyszał słowa.
- Kochałem ją.
- Dlatego poszedłeś za nią na plażę?
- Biały pokręcił głową.
- To nie tak. My... byliśmy tam umówieni.
- Umówieni? Daj spokój. Taka dziewczyna jak Regina nie zadawała by się z chłopakiem z Głębców.
- Pan... nie rozumie...
- Czego nie rozumiem?
- Rodzice Reni mnie nie lubili i dlatego... dlatego...
- Dlatego co?
- Biały przełknął nerwowo ślinę.
- Dlatego musieliśmy spotykać się w ukryciu. Ale kochaliśmy się i chcieliśmy się pobrać, i mieć dużo dzieci, i... – Niespodziewanie uniósł głowę, a na jego pokaleczonej twarzy rozlał się upiorny uśmiech. – Kochaliśmy się – powtórzył.
- Włodarczyk westchnął. Igielski pomyślał, że powinien przynieść sobie dodatkowe krzesło i usiąść. Zapowiadał się długi wieczór, ale ani starszy sierżant, ani prokurator nie wątpili, że jeszcze tego dnia chłopak zmieni zdanie i przyzna się do zabójstwa Reginy Wieczorek.

3 listopada 1986

Po pięciu latach spędzonych w Przeradowie starszy sierżant Krzysztof Igielski znał już wszystkie rodzaje jesienno deszczu. Wiszącą w powietrzu mżawkę, która kleiła się do skóry jak namoczona zimna chusta. Siąpiący z nieba kapuśniaczek i ulewę, niosącą

w gwałtownych porywach wiatru słoną woń morza. Deszcz zacinający niemal poziomo, przed którym nie chroniła żadna parasolka. I deszcz podstępnie wciskający się za kołnierz, chlupoczący w butach, szary i pachnący gnijącymi w wodzie liśćmi.

Myślał o nich jeśli nie z sympatią, to przynajmniej z pewną dozą zrozumienia. Miał czterdzieści jeden lat i zdążył się nauczyć, że w życiu istnieją niedogodności, na które nic nie można poradzić. Jak paskudna kawa zbożowa, którą kupował, kiedy w sklepach nie było prawdziwej, jak pani Krawiec (nie Krawcowa, co zawsze podkreślała), która sprzątała komendę i zawsze przekładała papiery, zostawiając przy okazji na biurkach smugi niestartego kurzu. Jak tanie skarpetki, które przecierały się na piętach, i jak nocne dyżury. Te ostatnie zresztą Igielski nawet dość lubił. Czasem przychodził ktoś, by poskarżyć się na nocną awanturę w mieszkaniu sąsiadów, czasem wpadały cierpiące na bezsenność staruszki ze swoimi opowieściami o czających się w ogrodach złodziejach czy zagląających przez okna zбочeńcach. Część z nich była już w tym wieku, kiedy fantazja miesza się z rzeczywistością, większość jednak po prostu potrzebowała towarzystwa, a starszy sierżant, misiowaty, nieco flegmatyczny i generalnie życzliwie nastawiony do świata, chętnie im to towarzystwo oferował.

Ostatnio częściej też przychodzili rodzice, zaniepokojeni tym, że ich nastoletnia pociecha zabalowała gdzieś i nie wróciła wieczorem do domu. Śmierć Reginy Wieczerek, choć jej morderca od miesiąca siedział w areszcie, pozostawiła w miasteczku piętno strachu, to wyraźnie wyczuwalne przekonanie, że noc nie jest już tak przyjazna, jak wydawała się jeszcze do niedawna.

Najczęściej jednak nie przychodził nikt, Igielski miał więc mnóstwo czasu, by siedzieć pod migającą żarówką z nogami na biurku, czytać Alistaira MacLeana i powtarzać francuskie słówka – uczył się tego języka jeszcze w liceum i od czasu do czasu odkurzał stare notatki. Nie żeby wyjechać na Zachód czy choćby porozmawiać z jakimś cudzoziemcem – tych w Przeradowie i tak nie było – po prostu ćwiczył pamięć. Poza tym lubił brzmienie tego języka: miękkie, śpiewne, trochę nawet frywolne.

Comment allez-vous aujourd'hui?

Bien, merci, mais j'ai mal à la tête.

Starszy sierżant zapalił papierosa i odsunął zeszyt. Siedział przez chwilę, leniwie wydmuchując dym i gapiąc się w ścianę, na której wisiał kalendarz z nagimi dziewczynami – kapral Jacek Bąk kupił go od jakiegoś marynarza, podobno Hiszpana, choć równie dobrze mógł to być Portugalczyk albo nawet Włoch. Słowo

„novembro” mogło należeć do dowolnego romańskiego języka, z wyjątkiem, rzecz jasna, francuskiego.

Listopadowa dziewczyna leżała na plaży, wyciągnięta na pasyście leżaku. W jednej ręce trzymała drinka z parasolką, drugą unosiła do twarzy, by poprawić ciemne okulary. Oprócz tych okularów nie miała na sobie nic, a na jej ustach błąkał się cierpliwy uśmiech, jakby pozowanie do rozebranych zdjęć było tylko przejściową niedogodnością. Ona i starszy sierżant Igielski mieli jednak z sobą coś wspólnego.

Obok wisiało zupełnie inne zdjęcie: powiększona fotografia przedstawiająca jasnowłosą maturzystkę. W białej bluzce i bez śladu makijażu dziewczyna wyglądała absurdalnie młodo. Jak dziecko, któremu przed chwilą wyszorowano buzię mydłem i zaprowadzono do fotografa, a nie kobieta u progu dorosłości. Był czas, gdy Igielski zastanawiał się, dlaczego rodzice Reginy udostępnili milicji właśnie tę fotografię. Czy żeby podkreślić, jak bardzo niewinna była ich córka? Wzbudzić jeszcze większe współczucie, odsunąć najmniejsze podejrzenia o to, że jej śmierć mogła w jakikolwiek sposób być sprowokowana przez nią samą? A może nie chodziło o nic takiego, może zwyczajnie było to ostatnie dobrej jakości zdjęcie przedstawiające zmarłą? Potem powstawały już tylko prześwietlone, nieostre fotki z wakacji, z koleżankami na plaży albo w tłumie ludzi na molo.

Pomyślał, że teraz, kiedy sprawa została zamknięta, ktoś powinien tę fotografię zdjąć, sam jednak nie zamierzał tego robić. Przyzwyczał się do towarzystwa martwej nastolatki, tak samo jak przyzwyczał się do towarzystwa śniadej rozebranej piękności. Zdarzało mu się nawet mówić do zdjęcia – jednego albo obydwóch – kiedy nuda dawała mu się we znaki.

Zgasił papierosa i dopił herbatę.

– Co tam u ciebie? – zapytał, patrząc na blondynkę. A potem powiedział mozołnie po francusku: – *Ça fait quoi d'être mort?*

Deszcz za oknem przeszedł właśnie we wściekłą ulewę, wałącą w szyby grubymi strugami wody. Wiatr napierał na okno, wciskając się przez szparę pod jedną z okiennic. Na parapecie utworzyła się już niewielka kałuża, stojąca w kącie farelka grzała podkręcona na pełen regulator, od przodu więc buchało na Igielskiego gorąco, a od tyłu w odsłonięty kark łaskotały zimne, wilgotne podmuchy. Niedogodności – pomyślał, moszcząc się wygodniej na krześle.

Sięgnął po *Działa Nawarony*. Do mętnego listopadowego świtu było daleko, a dziś i tak raczej nikt nie przyjdzie. Rano być może znajdą jakiegoś samobójcę – ludzie zabijali się najczęściej w takie właśnie wietrzne i deszczowe noce – ale teraz czekało go kilka godzin spokoju.

Mylił się jednak, bo gdy skończył rozdział, rozległo się ciche, jakby niepewne skrzypnięcie drzwi. Starszy sierżant uniósł głowę znad

kartek, czujny, gotów w każdej chwili odłożyć książkę, a jednocześnie gotów też wrócić do czytania, gdyby się okazało, że to tylko wiatr. Na wszelki wypadek zdjął nogi z biurka. Drzwi skrzypnęły jeszcze raz, zupełnie jakby ktoś, ośmielony, otworzył je szerzej, a potem na korytarzu rozległ się odgłos kroków. Przybysz minął dyżurkę i chwilę później zastukał do gabinetu starszego sierżanta. To stukanie było już zupełnie inne: mocne, zdecydowanie pewniejsze. Kimkolwiek był niespodziewany nocny gość, właśnie przestał się wahać.

- Można? - zapytał męski głos, drzwi uchyliły się i do pomieszczenia wszedł ociekający deszczem starszy pan w foliowej pelerynie, jaką można kupić w większości kiosków. - Dyżurny śpi, a u pana paliło się światło, więc... Mogę wejść?

Igielski odchrząknął.

- Siadajcie, obywatelu. Płaszcz możecie powiesić przy drzwiach na wieszaku. Zaparzę herbaty.

Mężczyzna zdjął pelerynę. Spodnie miał w miarę suche od pasa aż do kolan i całkiem przemoczone od kolan do kostek, a kiedy szedł w stronę biurka, zostawiał za sobą na podłodze błyszczące wilgocią ślady. Igielski ocenił go na jakieś sześćdziesiąt-siedemdziesiąt lat; stary, ale jeszcze w niezłej formie, szczupły, z głębokimi zmarszczkami na twarzy. Był świadkiem przestępstwa czy może sam padł jego ofiarą?

Usiadł na krześle naprzeciwko Igielskiego i uśmiechnął się lekko. To był zaskakująco urokliwy uśmiech, nie miły ani sympatyczny, ale właśnie urokliwy, jakby mężczyzna był starym, zużytym arystokratą, wciąż pełnym swoistego wdzięku, choć lata hulaszczego życia wyryły mu na twarzy głębokie bruzdy.

- Zawsze częstujecie ludzi herbatą? - zapytał.

- Nie zawsze - przyznał starszy sierżant - ale w taką noc nie zaszkodzi napić się czegoś gorącego.

- W takim razie chętnie skorzystam, dziękuję.

Igielski przeszedł do wnęki kuchennej i postawił czajnik na gazowym palniku. Mężczyzna czekał z rękami na kolanach, woda skapywała z peleryny i zostawiała pod wieszakiem kolejną kałużę. W pokoju słychać było bębnienie deszczu o szyby, a potem gwizd czajnika, najpierw cichy, później coraz głośniejszy.

- Mleka? - zapytał starszy sierżant.

- Tak, poproszę. I łyżeczkę cukru, jeśli można.

Igielski postawił na biurku dwie szklanki w wiklinowych koszyczkach. Nie powinien pić więcej herbaty, bo pełny pęcherz już od jakiegoś czasu dawał mu się we znaki, uznał jednak, że dzięki temu niezajomy poczuje się bardziej swobodnie.

Starszy pan zamieszał gorący płyn i odłożył łyżeczkę na spodek. Igielski milczał, chcąc dać mu czas - niektórzy petenci już

od progu wyrzucali z siebie to, co ich dręczyło, inni potrzebowali kilku minut, by zacząć mówić. Tyle tylko, uświadomił sobie starszy sierżant, że ten siwowłosy mężczyzna nie wyglądał na zdenerwowanego czy wystraszonego. Nie sprawiał wrażenia, jakby spotkało go coś złego.

Starszy pan upił łyk herbaty.

- Powiniennem wyjaśnić, po co przyszedłem, prawda? - powiedział, odstawiając szklankę na biurko. Ręce mu nie drżały: Igielski zwrócił uwagę, bo była to częsta przypadłość u starych ludzi, zdenerwowanych czy nie.

- Zaczniemy od czegoś prostego. Na przykład możecie się przedstawić.

- Jan Kowalski.

- Mieszka pan w Przeradowie? - Igielski zrezygnował z formalnego „obywatelu”. Robił tak zwykle w przypadku nieśmiałych petentów, choć instynkt podpowiadał mu, że gość niezupełnie należy do tego gatunku.

- Nie.

Starszy sierżant skinął głową. Tak właśnie mu się wydawało. Nie znał oczywiście wszystkich mieszkańców miasteczka, ale miał wrażenie, że gdyby wcześniej spotkał gdzieś Kowalskiego, zwróciłby na niego uwagę.

- Turysta? - Wciąż nie miał pomysłu, co powiedzieć. Większość rozmów z ludźmi, którzy przychodzili zgłosić przestępstwo, biegła według stałego schematu, niezależnie od tego, czy Igielski miał przed sobą zrozpaczoną matkę, okradzioną staruszkę czy agresywnego pana w średnim wieku. Zawsze szczylił się tym, że umie rozmawiać, ale tutaj nie znajdował żadnego punktu zaczepienia. Siwowłosy mężczyzna nie potrzebował pocieszenia, nie wydawał się zdenerwowany ani zagubiony. I odwrotnie, nie był też przesadnie pewny siebie. Ostrożny - może to było najważniejsze słowo. Człowiek, który waży każde słowo.

- Nie.

Starszy sierżant odetchnął.

- Może w takim razie po prostu powie mi pan, po co przyszedł.

- Tak. - Kowalski przymknął na chwilę oczy, a kiedy je otworzył, wpatrywał się w ścianę i wiszące na niej dwa zdjęcia. - Tak będzie najprościej. Zabiłem ją.

- Słucham? - Oszołomiony Igielski przez krótką chwilę myślał, że starszy pan mówi o egzotycznej piękności z kalendarza, ale oczywiście miał na myśli drugą dziewczynę.

- Zabiłem ją - powtórzył Kowalski cierpliwie.

- Reginę Wieczorek?

- Chyba tak. Mówiła, że ma na imię Renia, ale nazwiska nigdy nie poznałem. Udusiłem ją na plaży, tam, gdzie ją potem znaleźliście.

Kurwa mać, pomyślał Igielski bezradnie. Nacisk na pęcherz stawał się z każdą chwilą coraz większy i starszy sierżant przyłapał się na tym, że przebiera pod biurkiem nogami jak stojący pod zamkniętą toaletą chłopczyk.

- Przepraszam na chwilę - powiedział, wstając. - Zaczeka pan?
- Oczywiście. Nigdzie się nie wybieram.

Pobiegł na półpiętro, zamknął drzwi niewielkiej ubikacji i wysiakał się z ulgą. Przecież stary nie zniknie teraz, kiedy sam do nas przyszedł, tłumaczył sobie chwilę później, myjąc ręce. A jeśli nawet, to co z tego? Jeden kłopot na głowie mniej. Bo to przecież kompletny wariat, a nie żaden morderca.

Jan Kowalski był trzecią osobą, która z własnej woli przyznała się do zabójstwa Reginy Wieczorek. Pierwszą był pewien człowiek, który zachowywał się całkiem normalnie, dopóki na pytanie, w jaki sposób zabił, nie wygłosił długiego i mętnego wyводу na temat nieczystości kobiecych narządów płciowych. Drugą był długowłosa młodzieniec, który rozplakał się, nim dotarł do trzeciego zdania w zeznaniu - potem powtarzał już tylko, że należy go ukarać, bo jest złym człowiekiem. Szybko się okazało, że facet od narządów miał za sobą długą historię chorób psychicznych, a długowłosa wieczór morderstwa spędził na izbie przyjęć, gdzie trafił po nieudanej próbie samobójczej. Igielski sądził więc, że ma niejakie doświadczenie z wariatami, kłopot w tym, że Kowalski nie przypominał żadnego z nich.

Wrócił do pokoju, trochę licząc, że starszy pan zniknął w międzyczasie, a trochę się tego obawiając. Kowalski jednak tkwił grzecznie na swoim miejscu, trzymając w dłoni szklankę z herbatą.

- Przepraszam. - Starszy sierżant chrząknął, zakłopotany. - Możemy kontynuować. Ale zanim przejdziemy do zeznań, chciałbym zobaczyć pana dokumenty.

- Nie mam dokumentów.

- Jaja pan sobie robisz? - wyrwało się Igielskiemu. Sytuacja stała się z minuty na minutę coraz bardziej absurdalna. - Zgubił je pan? Ukradli panu?

- Zgubiłem - przyznał Kowalski. - Dawno temu, jeszcze w pięćdziesiątym czwartym. A może piętym? Tak, to chyba był pięćdziesiąty piąty.

- Adres zameldowania? Miejsce pracy?

- Nie mam ani jednego, ani drugiego - wyjaśnił Kowalski spokojnie. - Od trzydziestu lat mieszkam kątem u różnych dobrych ludzi, latem czasem w namiocie albo i pod gołym niebem. To mi wystarcza.

- I żywi się pan powietrzem? - zadrwił Igielski. - Czy może ci dobrzy ludzie także karmią pana i ubierają?

- Bywa i tak. - Starszego pana najwyraźniej nic nie było w stanie wytrącić z równowagi. - Ale zazwyczaj odwdzięczam się za jedzenie i dach nad głową. Wykonuję drobne prace gospodarskie, pilnuję dzieci i wyprowadzam psy. Przyznaję, że zdarzało mi się też pracować na czarno. U prywatnej inicjatywy, najczęściej w sadach albo przy szklarniach. Zawsze miałem dobrą rękę do roślin.

- Ci dobrzy ludzie to przeważnie kobiety, co?

- Całkiem często, owszem. - Kowalski skinął głową.

Przynajmniej to miało odrobinę sensu. Starszy sierżant wiele razy widział kobiety utrzymujące z jakichś niepojętych powodów swoich konkubentów darmozjadów. A ten mężczyzna miał w sobie wystarczająco dużo uroku, by zbałamucić niejedną emerytkę.

- I przez trzydzieści lat nie przyszło panu do głowy, żeby wyrobić sobie nowe dokumenty?

- Przyszło, ale w urzędzie kazali mi donieść akt urodzenia, a ja go nie miałem. Jestem sierotą, przez całą wojnę jako dziecko tułałem się po różnych sierocińcach i tak naprawdę nie mam pojęcia, skąd pochodzę. Jedna zakonnica mówiła mi kiedyś, że z Kraśnika, ale nie wiem, czy to prawda, zresztą Kraśników w Polsce jest kilka, więc gdzie miałem szukać? A poza tym trochę wtedy piłem i nie miałem głowy do wykłócania się z urzędnikami.

- I przez te wszystkie lata nigdy nie zatrzymała pana milicja? Nie miał pan nawet książeczki zdrowia, żeby zarejestrować się u lekarza?

- Nie. Jestem ostrożny i wiem, jak unikać kłopotów. A zdrowie zawsze mi dopisywało. To znaczy wcześniej, teraz już nie, teraz jest za późno. Mam raka. Znalazła go lekarka, u której przez jakiś czas mieszkałem. Powiedziała, że zostały mi jakieś trzy miesiące życia. Dlatego przyszedłem się przyznać, do zabójstwa tej dziewczyny ze zdjęcia i wszystkich pozostałych też.

- Jakich pozostałych? - Igielski był już pewien, że żadne słowo tego mężczyzny nie jest prawdą. To wariat, powtarzał w myślach, owszem, uprzejmy, potrafiący gadać z sensem, ale jednak wariat. Nie było innej możliwości.

- Zabiłem w tym miasteczku sześć dziewczyn. - Starszy pan mówił spokojnie, jakby opowiadał o tym, co zjadł dziś na śniadanie i gdzie pojechał na wycieczkę. - Pierwszą jeszcze na początku lat pięćdziesiątych. Nie pamiętam jej imienia. Może Stanisława albo Franciszka. Wiem, że to nie są podobne imiona, ale mnie się zawsze myliły. Taka chuda, ładna brunetka. Spotkałem ją w lesie i zaczęliśmy rozmawiać. Była samotna, biedactwo, bo wojna zabrała jej całą rodzinę i musiała mieszkać kątem u obcych ludzi, którzy traktowali ją jak służącą. Plotkowaliśmy więc o tym i owym, a potem zaproponowałem jej, żeby przyszła do mnie w nocy.

- Do pana, czyli gdzie?

- Do lasu, bo tam obozowałem. Był koniec września, właściwie już jesień, ale słońce ciągle jeszcze grzało. Zgodziła się. Byłem wtedy młody, przystojny i dziewczyny mnie lubiły. Myślałem, że pokochamy się pod drzewem, a potem rozstaniemy jak dwoje dorosłych ludzi. Ona miała jakieś osiemnaście-dziewiętnaście lat, młodsza ode mnie, ale już nie dziecko.

- I co się stało? - Igielski sięgnął po paczkę klubowych. Nie powinien tyle palić, ale w takiej sytuacji był chyba usprawiedliwiony.

- Przyszła, jak się umawialiśmy, ale kiedy chciałem przejść do rzeczy, nagle zmieniła zdanie. Zirytowało mnie to, przyznaję, i trochę się poszarpałiśmy.

- I zabił ją pan.

- Zabiłem, tak. Krzyczała, a ja chciałem tylko, żeby wreszcie była cicho, więc zarzuciłem jej na szyję pasek od spodni i ciągnąłem, aż przestała się ruszać.

- Zgwałcił pan tę dziewczynę?

- Nie, ale... - mężczyzna zawahał się - to, co zrobiłem, sprawiło mi przyjemność. Czuję uciekające z niej życie, a to jest coś lepszego niż miłość. Rozumie pan?

- Niech pan mówi dalej.

- Fantazjowałem wcześniej o zabijaniu, ale nigdy przedtem nie próbowałem tego zrobić. Dopiero tam, w lesie, właściwie czystym przypadkiem. Byłem przerażony, kiedy się okazało, że dziewczyna nie żyje, ale myślałem trzeźwo. Zarzuciłem ją sobie na plecy, bo była lekka, i wyniosłem na plażę, do zatoczki. Tam cumowały łódzie. Wziąłem jedną z nich i wypłynąłem na morze.

- Umiał pan?

- To nie była duża łódka, tylko taka zwykła, na dwa wiosła. Zawinąłem tę dziewczynę w koc, obciążyłem kamieniami i wrzuciłem do wody. Rano zwinąłem obóz i już mnie nie było. Da pan papierosa?

- Wolno panu palić?

Kowalski wzruszył ramionami

- Mnie już nic nie zaszkodzi.

Starszy sierżant podsunął mu paczkę i patrzył, jak mężczyzna przypala papierosa.

- A reszta dziewczyn? - zapytał, kiedy starszy pan wypuścił z płuc dym.

- To we mnie siedziało, ta świadomość, że przez chwilę byłem panem czyjś życia. Chciałem ją poczuć jeszcze raz, a jednocześnie się bałem, że teraz już na pewno mnie złapią. Raz mogło mi się udać, ale nie dwa. Dlatego wróciłem do Przeradowa siedem lat później, jesienią pięćdziesiątego ósmego. Myślałem, że po takim czasie nikt mnie już nie rozpozna, a ja będę mógł pójść na miejsce, gdzie tę dziewczynę zabiłem, i może to mi wystarczy. Że gdy przywołam wystarczająco intensywne wspomnienia, nie będę więcej myślał

o zabijaniu. Wtedy spotkałem następną dziewczynę, Różę, też w lesie. Pomyślałem sobie... śmieszne, wiem, ale pomyślałem, że ten las i ta zatoczka to moje szczęśliwe miejsce, że tu nic złego nie może mi się przytrafić. Dlatego zabiłem Różę, a potem wrzuciłem jej ciało do morza, zupełnie tak samo, jak zrobiłem wcześniej ze Staśką czy z Franią. Potem wracałem tutaj co siedem lat, kręciłem się przez jakiś czas po mieście, znajdowałem dziewczynę, która mi się podobała, i namawiałem ją, żeby przyszła do lasu. Siedem to magiczna liczba, wie pan? Wierzyłem, że ona też przynosi mi szczęście. I najwyraźniej miałem trochę racji, bo nikt mnie nigdy nie podejrzewał.

- I te wszystkie dziewczyny przychodziły, skuszone pana urokiem osobistym?

- Ostatnie już nie - przyznał Kowalski, odkładając papierosa. - Piątą i szóstą wzięłem zwyczajnie na litość. Mówiłem im, że mieszkam w lesie, i prosiłem, żeby przyniosły mi trochę jedzenia. A przy okazji prosiłem też, żeby nikomu o mnie nie mówiły, bo milicja arestuje takich włóczęgów jak ja. Czasem nie wychodziło, ale prędzej czy później znajdowałem dziewczynę, która się godziła.

- I nigdzie indziej pan nie zabijał?

- Nie. Jeździłem po całej Polsce, ale tylko tutaj mordowałem. Naprawdę wierzyłem w to szczęśliwe miejsce, wie pan. Co nie znaczy, że nie byłem ostrożny, szczęście nic nie pomoże, jeśli człowiek nie potrafi używać rozumu. I starałem się nie być chciwy. Jedno zabójstwo na siedem lat - tak sobie postanowiłem i tego się trzymałem.

- Wszystkie dziewczyny utopił pan w morzu?

- Z wyjątkiem ostatniej. Ją też chciałem wrzucić do wody, ale okazało się, że już nie jestem w stanie zepchnąć łódki na morze. Zwyczajnie byłem zbyt słaby. Dlatego zostawiłem zwłoki na plaży. A potem dowiedziałem się o chorobie i pomyślałem, że tamta słabość to był znak, że to już koniec i powinienem się przyznać. Tych dziewczyn wcześniej nikt nawet za bardzo nie szukał, a w każdym razie ja nic o tym nie wiem. Wszyscy założyli chyba, że uciekły z domów i włóczą się gdzieś po Polsce. Z Renią było inaczej, milicja zaczęła śledztwo, a potem arestowaliście tego chłopaka. Cóż, nie wątpię, że w pana oczach jestem złym człowiekiem, ale nie chciałbym, żeby ten młody człowiek siedział w więzieniu do końca życia za coś, co ja zrobiłem.

- To czemu nie zgłosił się pan od razu, jak tylko zatrzymaliśmy Andrzeja Białego?

- Bo wtedy nie wiedziałem jeszcze ani o moim raku, ani o arestowaniu. O tym, że niedługo umrę, dowiedziałem się dwa dni temu, dokładnie pierwszego listopada. Dzień w sam raz na taką wiadomość, nie sądzi pan? A o tym, że macie już mordercę, powiedział

mi pewien człowiek w barze na dworcu. Przyjechałem pociągiem z Warszawy wieczorem o dziewiątej piętnaście, zjadłem porcję bigosu i usiadłem w poczekalni. Zbierałem się na odwagę, żeby do was przyjść. Chciałem przeczekać do rana, ale potem pomyślałem sobie, że w sumie co za różnica, równie dobrze mogę się przyznać w nocy. Macie wtedy mniej pracy, więc może chętniej mnie wysłuchacie.

Igielski chrząknął, po czym powiedział już bardziej oficjalnym tonem:

- Obywatelu Kowalski, ma pan jakikolwiek dowód na to, że to właśnie pan jest mordercą?

- Opowiedziałem przecież, jak zginęła ta dziewczyna.

- O tym wszystkim można było przeczytać w gazecie. Ma pan coś więcej?

Kowalski westchnął, po czym sięgnął do kieszeni.

- Tak się składa, że mam. Zabrałem jej wisiorek, o, proszę. Pozostałym też zabierałem różne drobiazgi, ale pogubiły mi się przez lata. Teraz mi pan wierzy?

Igielski wyciągnął rękę po cienki łańcuszek, na końcu którego dyndał srebrny krzyżyk.

- Nikt z rodziny Reginy Wieczerek nie zgłaszał, że ofierze brakowało takiego wisiorka.

Po raz pierwszy wyglądało na to, że Jan Kowalski stracił nieco pewności siebie. Zakłopotany spojrział najpierw na starszego sierżanta, a potem na zdjęcie dziewczyny, jakby tam szukał odpowiedzi. Wreszcie wzruszył ramionami.

- Jeśli mi pan nie wierzy, nic na to nie poradzę. Ale to ja zabiłem. Popełnicie wielki błąd, jeśli nie zwolnicie tego chłopaka i nie aresztujecie mnie.

- Zdaje pan sobie sprawę, że musielibyśmy mieć coś więcej niż jakąś mało prawdopodobną historyjkę, w dodatku nieopartą żadnymi dowodami?

- Czy to oznacza, że mam wstać, wyjść i nie zawracać panu więcej głowy?

Starszego sierżanta kusiła taka perspektywa. Wyrzucić Kowalskiego z komendy, tak jak wcześniej kapitan Rychert wyrzucił wariata bredzącego o złowrogich kobiecych narządach. Bez namysłu i bez najmniejszych wątpliwości. Nie mógł jednak tego zrobić - historyjka Kowalskiego, jakkolwiek fantastycznie brzmiała, mogła przynajmniej częściowo być prawdziwa.

- Nie - powiedział, przysuwając bliżej maszynę do pisania. - Teraz opowie pan wszystko, co tylko pamięta pan z tych morderstw. Daty, imiona i nazwiska ofiar, co pan z nimi robił wcześniej i później. Wszystko.

* * *

Cztery godziny później Igielski schował do szuflady plik luźnych kartek i wstał, przeciągając zeszywniałe kości. Za oknem deszcz już ustał, ale niebo wciąż było zaciągnięte chmurami, przez które z trudem przebijały się pierwsze promienie słońca.

- Aresztuje mnie pan teraz? - zapytał Kowalski.

Igielski pokręcił głową.

- Mógłbym zatrzymać pana za brak dokumentów, ale mam lepszy pomysł. Pójdzie pan ze mną.

Kowalski wziął z wieszaka suchą już pelerynę i bez słowa wyszedł za starszym sierżantem.

- Wychodzę na chwilę - Igielski poinformował chłopaka, który w małej dyżurce przecierał zaspane oczy. - I biorę służbowy samochód.

Młody skinął głową z roztargnieniem, a potem zmarszczył brwi na widok Kowalskiego, najwyraźniej rozwiązując w myślach trudny problem, skąd mężczyzna się tutaj wziął.

Wsiedli do poloneza, który parkował przed komendą, i ruszyli. Ulice o tej porze były niemal puste, tylko gdzieś tam przemykali zaspani ludzie śpieszący na pierwszą zmianę do niedalekiej fabryki konserw. Igielski odruchowo rozejrzał się za rybakami, których widywał bladym świtem, jak w gumowych płaszczach i kaloszach zmierzają w stronę przystani, ale ci chyba już wypłynęli na morze. A może listopad nie był sezonem na ryby? Starszy sierżant powinien już to wiedzieć, ale zawsze jakoś zapominał.

Plandeki przykrywające zamknięte budy z pamiątkami, frytkami i goframi łopotały na jesiennym wietrze, przypominając wszystkim, że lato dawno minęło. Trzy miesiące temu o tej porze na deptaku widać by już było pierwszych wczasowiczów w kostiumach kąpielowych, rażno zmierzających w stronę plaży, by zająć jak najlepsze miejsca. Teraz miasteczko sprawiało wrażenie wymarłego. Wiatr szarpał dziecięcym butem, który z jakiegoś powodu zwisał z ulicznej latarni, a pod zamkniętym sklepem kulił się zarośnięty mężczyzna wyglądający tak, jakby dręczył go solidny kac. Wychudzony pies obwąchiwał właśnie kępę uschniętej trawy, a kiedy przejeżdżali obok, odskoczył i zaszczekał nerwowo.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Kowalski.

- Zobacz pan.

Starszy mężczyzna sprawiał wrażenie zdezorientowanego, może nawet lekko zaniepokojonego i to sprawiło Igielskiemu jakąś dziecinną satysfakcję. Skręcił w stronę przystani, a potem w prawo, w stronę wyjazdu z miasta. Kowalski nie odzywał się więcej, tylko patrzył w szybę z wyrazem twarzy, którego starszy sierżant nie potrafił odgadnąć.

- To tutaj - powiedział, zatrzymując się przed dwupiętrowym budynkiem w kolorze przybrudzonego beżu. Napis nad wejściem głosił „Szpital Miejski w Przeradowie”.

Kowalski spojrzał zdziwiony.

- Nie rozumiem - powiedział ostrożnie.

- Mówił pan, że jest chory, prawda?

- Mówiłem też, że nie mam książeczki zdrowia.

Igielski wzruszył ramionami.

- Coś się załatwi.